

Sad

Agnieszka Marciniuk

Sad



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Copyright © by Agnieszka Marciniuk, 2011
All rights reserved

Redaktor prowadzący
Katarzyna Lajborek-Jarysz

Projekt okładki
Paulina Radomska-Skierkowska

Redaktor
Bogusław Jusiak

Opracowanie graficzne i techniczne
Barbara i Przemysław Kida

Wydanie I

ISBN 978-83-7506-926-6

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853-27-51, 61 853-27-67, faks 61 852-63-26
dział handlowy, tel./faks 61 855-06-90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

PROLOG

U wylotu głównej alei wielkiego wiśniowego sadu stała kobieta.

Był wczesny poranek, a ona jak co roku w ten dzień, tuż przed rozpoczęciem zbiorów, nie mogła usnąć z przejęcia, przewracała się całą noc z boku na bok, aż wreszcie doczekawszy świtu, wyszła cicho ze starego domu, przecięła podwórkę i minawszy stodołę, dotarła do ogromnego sadu, który rozpościerał się na kilku hektarach żyznej wschodniej ziemi. To były ostatnie chwile, kiedy można było podziwiać go w całej okazałości, jeszcze nieprzetrzebiony rękami rwaczy. Na końcu alei wschodziło młode, różowe słońce, lekki wiatr szumiał w pogryzionych przez chrabąszcze liściach, pomiędzy splątanymi gałęziami rozjarzyła się czerwień dojrzałych owoców. Spomiędzy drzew do kobiety napływały śmiechy i rozmowy rwaczy, którzy mieli się tu zjawić lada chwila. Kiedy mrużyła podrażnione promieniami słońca oczy, widziała Mateusza, który szedł wzdłuż rzędka, nadzorując zbiory. Odetchnęła głębiej i poczuła zapach rozgrzanej lipcowym żarem ziemi. Gdzieś w oddali poderwał się do lotu dziki gołąb.

Kobieta podeszła do pierwszego drzewa i zerwała samotną wiśnię, która dojrzała na wyjątkowo długiej, nieprzyciętej gałęzi. Włożyła ją do ust. Cierpko-słodki sok rozlał się na jej języku, łaskocząc podniebienie.



Zawsze tuż przed rozpoczęciem zbiorów Regina wyjmowała albumy ze zdjęciami i siadała z nimi w drewnianej altance za domem, w starym jabłoniowym sadzie. Było upalne lipcowe popołudnie, powietrze stało nieruchomo, ale w altance panował przyjemny chłód; stary sad dawał kojący cień. Regina siedziała przez chwilę z głową opartą na rękę, a potem otwierała pierwszy album.

Wszyscy tu byli, jej mąż, dzieci, wnuki, prawnuk, ona sama. Oglądała stare zdjęcia niemowląt o wielkich oczach i pyzatyh buziach. Na kolejnych stronach albumów dzieci rosły, stawiały pierwsze kroki, szły pierwszy raz do szkoły, potem do Pierwszej Komunii. Dorastały. Syn Piotr spoglądał poważnie ze zdjęcia zrobionego w parku w Warszawie, gdzie studiował. Na następnej stronie dołączyła do niego długowłosa blondynka, Monika, a potem, kilka stron dalej, do Reginy uśmiechnęła się mała dziewczynka, która była jej wnuczką. Kilka stron w albumie to było kilka lat oczekiwania na Idę.

Jeszcze przed Piotrem do Warszawy pojechała Elżbieta, najstarsza z całej trójki, która patrzyła na Reginę ze zdjęć swoimi czarnymi oczami, zawsze przykrytymi długą grzywką. Regina szczególnie lubiła jej zdjęcia ślubne; obok Elżbiety stał wysoki i przystojny Andrzej, młody prawnik, oboje wyglądali pięknie i byli bardzo szczęśliwi, mimo że dzień był deszczowy i biała suknia Elżbiety miała ubłocony cały koronkowy dół. Na ich zdjęciach bardzo szybko pojawiła się dziewczynka, Flora, zawsze ubrana w piękne sukieneczki szyte z tych samych materiałów, z których szyte były sukienki jej matki.

Równolegle z historią Elżbiety toczyła się na kartach albumów historia Joanny, młodszej, zagubionej w cieniu siostry dziewczynki, z której wyłonił się najpierw niezgrabny podłotek, a potem nieokreślona kobieta. Nieokreślona może dlatego, że z jednego cienia wpadła prosto w drugi, a cieniem tym był z kolei jej mąż, człowiek, dla którego życiowe niespełnienie było nieodmiennym powodem do alkoholowych ciągów i mylenia drobnych postaci własnych dzieci z dziećmi sąsiadów. Robert już jako mały chłopiec był niebezpiecznie podobny do ojca. Beata na zdjęciach zawsze stała za nim, podobnie jak niegdyś Joanna stawiała za Elżbietą.



Słońce przetoczyło się już na drugą stronę nieba, kiedy Regina zamknęła ostatni album i z zadumą spojrzała na rosochate jabłonie. Nowego sadu nie było stąd widać. Regina patrzyła na stare drzewa i uśmiechała się. Dotknęła dłonią albumów. To był czas,

kiedy wszyscy obecni na fotografiach mieli się pojawić w starym domu pod lipami.

Zostawiła albumy w altance, a sama udała się przez podwórze do stodoły. Mateusz kończył tu zbijać wielki drewniany stół. Tuż po zakończeniu zbiorów Regina chciała uroczystie obejść swoje siedemdziesiąte urodziny. Długi stół miał pomieścić całą jej rodzinę.

— Czy nie uważasz, że jest za wysoki? — powiedziała Regina, przymierzając się do stołu. — Niewygodnie będzie przy nim siedzieć. Moim zdaniem powinienś opierać trochę nogi.

— O ile, twoim zdaniem? — mruknął Mateusz przez trzymane w ustach gwoździe.

— Myślę, że wystarczy o tyle. — Regina zbliżyła do siebie kciuk i wskazujący palec prawej ręki tak, jak gdyby trzymała między nimi niewidzialną wiśnię. Potem wyprostowała się i przeciągnęła dłonią po blacie. — Te deski są ciągle chropowate, Mateuszu, pozyciagają mi się wszystkie obrusy.

— Jeszcze nawet nie zacząłem ich szlifować — odrzekł staruszek.

Regina pokiwała głową.

— W każdym razie pamiętaj o tym, mój drogi — powtórzyła.

— Pamiętam, gołąbko — głos Mateusza drgnął nieco przy wyrazie „gołąbko”, bo właśnie uderzył się młotkiem w palec. Obecność żony zawsze go rozpraszała przy robocie, tylko z wiekiem zmieniały się tego przyczyny.

Regina odeszła kilka kroków i z tego dystansu jeszcze raz obejrzała stół.

— Już go widzę, Mateuszu — powiedziała. — Widzę, jak stoi w starym sadzie, jak układam na nim obrusy i nakrycia. Widzę, jak oni przy nim siadają. Widzisz to?

— Naturalnie — odrzekł Mateusz, skupiony na wbijaniu kolejnego gwoźdź. — Naturalnie.

Regina uśmiechnęła się.

— Jest piękny.

— Moim zdaniem jest trochę za długi — zaproponował nieśmiało Mateusz.

— Mylisz się. — Regina pokręciła głową. — Jest akurat w sam

raz, tak żeby każdy mógł siedzieć swobodnie. Pamiętaj, że będzie nas dużo.

Mateusz westchnął.

— Jest dokładnie taki, jak chciałam — powtórzyła Regina. — Dziękuję ci. Pamiętaj tylko o tym blacie. I nogach.



A kiedy słońce stało już nisko nad bujnymi łanami zbóż, rozposcierającymi się dookoła sadu, do Reginy zajrzała jej sąsiadka, Marynia Żałowska. Regina wyjęła wiśniową nalewkę z ubiegłorocznych zbiorów i razem z paterą z niedzielным placikiem drożdżowym wyszła do Maryni na ganek. Dzikie wino zasłaniało im widok na zachód słońca, na ganku panował już półmrok. W oddali słyhać było ujadanie psów we wsi.

— Jutro zaczynamy — powiedziała Regina do Maryni.

Marynia pokiwała głową. Pomarszczoną twarz rozjaśnił uśmiech. Kiedy była młodsza, przychodziła zawsze rwać, podobnie zresztą jak inne sąsiadki z kolonii i ze wsi. Lubiły bardzo te dwa lipcowe tygodnie; było to najważniejsze letnie wydarzenie towarzyskie we wsi, pomijając odpust i sierpniową pielgrzymkę do lokalnego sanktuarium. Gromadziły się wszystkie, przyprowadzały swoje córki, potem wnuczki, znajome i kuzynki, które przyjeżdżały do nich na wakacje. Ustawiały się w dwóch sąsiadujących ze sobą rządach i spędzały upływające szybko godziny, rwąc wiśnie, plotkując, żartując, nieraz pocieszając się wzajemnie. Czasem ścigały się, który rząddek zostanie szybciej oberwany, ale Mateusz tego nie lubił, bo duch walki przesłaniał wtedy zwykłą dbałość o jakość pracy; wiśnie nie były oberwane czysto, w skrzynkach znajdował ogonki i listki. Przychodził wtedy, drapał się w głowę, wołał Marynię na bok i nieśmiałym szeptem prosił, żeby zrywały dokładniej. Marynia chętnie zdejmowała z jego barków niemiły obowiązek zwracania uwagi pracownikom i żartem przerywała wyścigi. Inne kobiety zresztą same rozumiały, w czym rzecz, i zmieszane powracały do spokojniejszego tempa pracy. Mateusz oddychał z ulgą; obecność tylu kobiet naraz w jednym miejscu, w dodatku w jego własnym sadzie onieśmielała go bardzo i był niezmiernie wdzięczny Maryni za to, że wyręczała go

w takich sytuacjach. Marynia zaś dzięki temu czuła się ważniejsza od innych sąsiadek i również była bardzo zadowolona.

Ale teraz obie z Reginą zestarzały się. Regina rzadko już pojawiała się w sadzie, czasem tylko szła do stodoły, kiedy ludzie schodzili z pola, żeby zamienić z sąsiadami kilka słów. W sadzie za to zbierała się cała jej rodzina; dziewczęta zrywały wiśnie, syn i zięć, a potem wnuk pomagali Mateuszowi zwozić pełne skrzynki i ważyć je w stodole.

— Franek i Stach będą przychodzić do ładowania samochodu, jak zawsze — powiedziała Marynia i wypła łyk nalewki. Sięgnęła po kawałek placka. — Ale Hania nie przyjdzie w tym roku do rwania.

— Naturalnie. Powiedz jej, żeby przyszła któregoś dnia z matką. Maryniu, musisz być bardzo dumna z wnuczki.

Franek urodził się Maryni i Stachowi bardzo późno, kiedy już stracili nadzieję na potomka. Marynia długie lata chodziła do mieszkającej pod lasem zielarki, za radą Reginy odwiedzała też lekarzy, jednak starania te nie przynosiły rezultatu. Franek urodził się dopiero, kiedy skończyła czterdzieści lat. Sąsiedzi po cichu twierdzili, że Franek nie jest synem Stacha, ale uderzające podobieństwo chłopca do nieładnego ojca szybko zamknęło ludziom usta. Franek wyrósł na brzydkiego, ale sympatycznego mężczyznę, na trzydzieste urodziny ożenił się z tutejszą dziewczyną, która pracowała jako kelnerka w pobliskim miasteczku. Oboje przed kilkoma miesiącami zostali rodzicami ku niewymownej radości starej Maryni, która w skrytości ducha bała się, iż nie doczeka wnucząt.

— Twoi przyjeżdżają?

— Naturalnie.

— Wszyscy?

— Na pewno.

Z biegiem lat czas, który dzieci, a potem także wnuki Reginy spędzały w tej wschodniej wiosce, kurczył się. Ale kiedy zaczynały się zbiory, każde z nich przynajmniej na chwilę pojawiało się w domu pod lipami.

— I wiesz, Maryniu, nie mogę się doczekać swoich urodzin na koniec zbiorów.

— Miałś w marcu.

— Wiem. Ale zawsze chciałam urodzić się w lipcu. To musiała być jakaś pomyłka natury. Jestem lipcową dziewczyną. I właśnie w tym roku pomyślałam sobie, że mam już tyle lat, że nikt mi nie może zabronić obchodzenia urodzin wtedy, kiedy chcę, prawda?

Marynia pokiwała głową, chociaż oczywiście nie rozumiała, jaka może być różnica między marcem a lipcem. Było to jedno z dziwactw jej najbliższej sąsiadki, do których Marynia odnosiła się z szacunkiem. Regina urodziła się w mieście, na wieś przyszła za mężem, i Marynia czuła przed nią respekt. Więc teraz również nic nie odpowiedziała, tylko włożyła sobie do ust jeszcze jeden kawałek placka i uśmiechnęła się z udanym zrozumieniem.

— No właśnie — ciągnęła Regina. — Maryniu, to będzie piękne spotkanie rodzinne, w starym sadzie, przy długim stole. Mateusz zbił go dzisiaj, podziękuj jeszcze raz Stachowi za te deski.

— Stach przepędził wczoraj bimber — przypomniało się Maryni. — Kazał zapytać, ile butelek potrzebuje Mateusz na rozpoczęcie zbiorów.

ROZDZIAŁ 1

Mateusz każde zbiory rozpoczynał uroczystym powitaniem najętych rwaczy w stodole. Nie była ona już stodołą w pełnym znaczeniu tego słowa — od kilku lat, odkąd Mateusz zaprzestał uprawy zboża, stała pusta i tylko latem, w czasie zbiorów wiśni pełniła funkcję czegoś w rodzaju składu i biura jednocześnie. Tutaj dzień przed rozpoczęciem zbiorów przywożono puste skrzynki, które ustawione w równe słupki czekały, aż wypełnią je wiśnie. Tutaj zwożono je potem z sadu, już pełne, tutaj rozliczano się z rwaczami i tutaj przyjmowano znanego w okolicy hurtownika, który codziennie przysyłał samochód po odbiór owoców.

Regina już w sobotę uprzątnęła stodołę na nowy sezon, Mateusz zaś skrupulatnie wyczyścił stary malowany kredens, w którym przechowywał podarunki od Stacha Żałoski. Kilka butelek trunku, który Stach rozrabiał z miodem z własnej pasieki, stało w równym rzędzie na spróchniałej półce, oczekując rwaczy.

Świeciło piękne słońce, zapowiadając niemiłosierny upał, ale na razie jeszcze nikt tego nie odczuwał. Była siódma rano, kiedy zaczęli się schodzić pierwsi pracownicy, na czele z panią Gienią, która w tym roku przyprowadziła ze sobą dwie siostrzenice, chociaż uroczą Olę i Jolę. Wkrótce po nich pojawili się następni rwacze, głównie sąsiadki z córkami i przyjezdnymi kuzynkami, które chciały posmakować pracy na wsi, a przy okazji zarobić sobie na błyskotki i lakier do paznokci, a także kilku miejscowych chłopaków, którzy całe lato imali się różnych zajęć z braku pieniędzy i z nudów. Miejscowi chłopcy i przyjezdne dziewczęta zerkali na siebie w półmroku stodoły, a Regina już czuła w powietrzu, jak co roku, przyjemne wibrowanie, napięcie, które miało potem znaleźć ujście w wesółych rozmowach przy wiśniowych drzewach, wspólnym umawianiu się na wiejskie zabawy w soboty, a niekie-

dy i w nagłych wybuchach namiętności w ustronnych zakątkach wiśniowego sadu. Regina była przekonana, że przez te wszystkie lata, kiedy uprawiali sad, co najmniej piątka okolicznych dzieci została w nim poczęta.

Mateusz i Regina witali każdego z pracowników we wrotach stodoły, rozlewano bimbler do metalowych kieliszków, których nikt już później nie mył, i wznoszono toast za udane zbiory. Rwacze brali potem puste skrzynki i drugimi wrotami stodoły wychodzili do sadu. Mateusz ustawiał ich w dwóch sąsiednich rzędkach najwcześniejszej odmiany, która dojrzewała nierówno; dużo owoców trzeba było zostawiać na drzewach, podczas gdy inne przy najlżejszym dotknięciu puszczały sok. Zrywanie ich było uciążliwe, dlatego też Mateusz za tę odmianę płacił najwięcej. Rwacze przyciągali ze sobą zbite z desek trójnożne drabiny, czekające na nich za stodołą, ustawiali w niskich słupkach puste skrzynki, układali w cieniu przyniesione ze sobą kanapki i napoje, przywiązywali paskami łubianki. Oglądali drzewa, szukając najdogodniejszych miejsc na początek. Wreszcie pierwsze owoce posypały się do łubianek, potem z łubianek do skrzynek. Praca była rozpoczęta.

Regina tymczasem wracała przez podwórze, zasłuchana w dalekie odgłosy rozmów. Pod domem przyspieszyła kroku — z ganku dobiegł ją dzwonek telefonu komórkowego, prezentu od Elżbiety, który leżał na drewnianym stole. Zdażyła w ostatniej chwili; przez moment można było zauważyć, jak przysiadając na wyścielonym starą narzutą krześle, marszczy w skupieniu brwi — zawsze zapomniała, że na ekraniku aparatu wyświetla się opis dzwoniącej osoby i zawsze miała jednakową niespodziankę. Rozmawiała krótko, szybko się pożegnała, rozejrzała bacznie po podwórku, przesunęła się z krzesłem w głąb ganku, gdzie trudno ją było dostrzec pomiędzy pnączami dzikiego wina, i wyjęła zza stanika, który ciągle jeszcze nosiła, zmiętego papierosa.



Pierwsze dni zawsze pełne były wigoru i energii, chęci do rwania, ciekawości nowych plotek, wesołych rozmów i docinków. Ludzie byli ożywieni, upał i monotonna praca jeszcze nie zdążyły dać się

im we znaki. Mateusz lubił przejść się wzdłuż rządków, zatrzymać przy starych pracownikach, przy sąsiadach, przysiąść na skrzynce i wymienić kilka życzliwych uwag. Pytał o zdrowie, o dzieci, o wnuki, rozmawiał o cenach w sklepach i o spodziewanych zyskach ze sprzedaży zboża. Przy okazji obserwował nowych pracowników, sprawdzał dyskretnie, czy aby w ich skrzynkach nie ma zbyt wielu listków i zepsutych wiśni. Potem wracał do stodoły po wózek i poplamiony szkolny zeszyt, żeby zwieźć skrzynki z wiśniami z rozgrzanego sadu do chłodnej stodoły i zapisać wyniki każdego pracownika.

Od kilku już lat zauważał mimochodem, jak zwożenie wiśni oraz ich ważenie robi się coraz cięższe. Od jakiegoś czasu, gdy zdarzało się tak, że na dłużej przyjeżdżał jego syn albo zięć, pozwalał im przejąć ster, ale chodził wtedy rozdrażniony. Piotr i Andrzej byli silni, nosili naraz po trzy skrzynki, ale zupełnie nie mieli do tego serca. Mateusz wołał, kiedy pomagały mu wnuczki — Beata, z pozoru krucha i delikatna, miała nadspodziewaną krzepę w rękach, co zawsze zauważał z uznaniem Stach Żałoska przy wieczornym załadunku samochodu. Na co dzień zaś Mateuszowi pomagał Franek albo któryś z chłopców, najmujących się do rwania. Stosunkowo łatwo było więc nie zauważać własnej słabości. A jednak Mateusz zauważał. Coraz trudniej było mu pchać wyładowany skrzynkami wózek, coraz mniej skrzynek zabierał za jednym razem, a przez to częściej musiał pokonywać drogę ze stodoły do rwaczy i z powrotem. Tymczasem nawet miarowy spacer bez wózka wzdłuż całego sadu przyprawiał go o silną zadyszkę. Mateuszowi, który całe życie przepracował w swoim sadzie, nigdy nie przyszłoby do głowy, że pewnego dnia zabraknie mu na to sił. A wszystko wskazywało na to, że już tego lipca będzie dla niego wyjątkowo bezlitosny.



Autobus przystanął na zakręcie, gdzie od szosy odbijała polna droga, wybiegając daleko w złociste pola, w stronę widocznych gdzieś niedaleko kolorowych domostw obrośniętych kępami drzew. Przy zakręcie szumiała brzezina, która dawała o tej porze nieco ciepłego cienia. Ida wysiadła z autobusu razem z kierowcą, który otworzył jej przepastny bagażnik i pomógł wyjąć wypakowany po brzegi zie-

lony plecak. Podziękowała, zarzuciła plecak na ramiona, podniosła głowę i napotkała utkwiony w sobie wzrok. Przez okno przypatrywała jej się jedyna już teraz pasażerka, po chwili jej twarz znikła razem z autobusem. Ida patrzyła za nim, dopóki nie minął czerwonego, drewnianego kościółka, po czym skręciła w polną drogę wiodącą do domu dziadków. Droga była szeroka, piaszczysta, przecięta wzdłuż pasem pożółkłej od upału i długotrwałej suszy trawy. Idę korciło, żeby zdjąć sandały i iść bosą, ale piasek był zbyt gorący. Dochodziło południe, powietrze falowało od żaru, nawet motyle polatywały niemrawo i ociężale. Ida przetarła dłonią spocone czoło. Wzdłuż kręgosłupa spłynęła ciepła strużka.

Szła wolno, z każdą chwilą plecak ciążył i uwierał coraz bardziej. Do domu dziadków nie było daleko, widziała go stąd doskonale, ale droga nie biegła wprost, najpierw odbijała w lewo, w stronę domu Żałosków, a dopiero potem, na rozstajach, skręcała. Ida rozważała, czy nie lepiej byłoby pójść na skróty miedzą. Miedza jednak była najeżona bujnym ostem, a ona miała gołe nogi i lekkie sandały.

Kiedy usłyszała za sobą skrzypienie roweru, odetchnęła z ulgą. Rowerzysta na tej polnej drodze musiał być kimś znajomym. Ida odwróciła się i rozpoznała w nadjeżdżającym mężczyźnie Franka Żałoskę. On również ją poznał i wyhamował gwałtownie. Opona roweru wyłobiała głęboki ślad w suchym piasku.

— Cześć, Idka! — przywitał ją, uśmiechając się szeroko. — Na wakacje? A wiśnie właśnie dzisiaj ruszyły, ale pewnie wiesz.

— Wiem, wiem — przytaknęła. — Chcę zrobić dziadkom niespodziankę.

— Zdejmuj ten plecak, pewnie ciężki. — Franek pomógł jej wyswobodzić się z szelek i umocował plecak na bagażniku roweru. — Chodź, podprowadzę cię. Chyba jesteś pierwsza, co? Moja mama była wczoraj u twojej babci i mówiła, że jeszcze nikogo z was nie ma.

— Nawet nie wiem — przyznała Ida, patrząc na okrągłą, różową, brzydką twarz Franka. — Myślałam, że może Beata już jest.

Szli chwilę w milczeniu. Nie znali się dobrze, Franek był od Idy sporo starszy i należał raczej do grona znajomych Beaty i Roberta. Jego żona była kiedyś ich dobrą koleżanką. Ale wtedy Ida była jeszcze zbyt mała, żeby ktokolwiek brał ją do kompanii.

— Co u Hani? — zapytała w końcu Ida, chcąc przełamać niezręczne milczenie. Wiejska cisza już zaczynała dzwonić jej w uszach.

Hani też dobrze nie znała.

— A dziękuję, ma się dobrze. — Brzydka twarz Franka rozciągnęła się znowu w uśmiechu. — Powiem jej, żeby zabrała Basię i przyszła do was któregoś dnia. No — przystanął, bo doszli do rozstaju dróg — stąd już dasz chyba sobie radę sama. Ja mam robotę, muszę wracać do domu, skoczyłem tylko na krzyżówkę po śrubki.

Zdjął plecak z roweru i podał go Idzie.

— Dziękuję — powiedziała Ida, odbierając plecak i znowu zarzucając go sobie na ramiona. Zrobił się jakby jeszcze cięższy, ale stąd do dziadków było już rzeczywiście blisko. — Pozdrów rodziców i Hanę i faktycznie powiedz jej, żeby przyszła do nas. Jak już Beata przyjedzie.

Franek pokiwał głową.

— Trzymaj się i pewnie do zobaczenia wieczorem. Jak samochód po wiśnie przyjedzie, przyjdziemy z ojcem pomóc załadować.

Franek pomachał jej, wsiadł na rower i pojechał dalej.

Ida popatrzyła za nim przez chwilę, potem rozejrzała się z uśmiechem po złocistej nieruchomej równinie i ruszyła w stronę starego domu ukrytego w cieniu rozłożystych lip.



Podwórko dziadków było dla niej tak swojskim widokiem, że zawsze, gdy skręcała z polnej drogi w otwartą na oścież bramę, miała wrażenie, jak gdyby nagle ktoś położył przed nią znajomą fotografię. Zawsze oglądała ją w ten sam sposób, zaczynając od prawej strony, gdzie wzdłuż drewnianego płotu rosły jarzębiny. Dalej, ocieniona czarnym bzem, stała buda Ryżej. Dokładnie naprzeciw siebie Ida miała stodołę, która zamykała podwórze i kryła rosnący za nią sad. Potem przesuwając wzrokiem po lewej stronie, mijała stary spichlerz i ziemiankę, pomiędzy którymi było przejście do starego sadu, i kończyła na oplecionym dzikim winem ganku, za którym gnieździł się cały dom.

Regina była w kuchni. Stała pochylona przy zlewie, płukała czarne i czerwone porzeczki, przesypując je delikatnie w dłoniach pod strumieniem wody. Ida lubiła, przyjeżdżając, zastawać babkę w kuchni. Obszerne pomieszczenie z dużymi oknami, z których jedno wychodziło na podwórze, a drugie na ganek, było miejscem, z którym Ida kojarzyła ją najsilniej.

— Jestem — powiedziała, stając w progu.

Regina podniosła na nią swoje stalowe oczy.

— Witaj, Iduniu. Płuczę właśnie porzeczki na kompot do obiadu. Tak sobie pomyślałam rano, że lubisz. Uważaj, zamoczysz się — dodała, kiedy Ida objęła ją w pasie i pocałowała w policzek.

— Niespodzianka — westchnęła Ida, z ulgą zdejmując plecak i wynosząc go do sieni. — Myślałam, że chociaż tym razem mi się uda.

— Nie lubię niespodzianek, wolę domyślić się zawczasu — odrzekła Regina, wycierając ręce w kraciatą ścierkę. — Zrozumiesz, jak będziesz miała moje lata.

Do wysokiej szklanki nalała bladoróżowego kompotu ze stojącego na szafce dzbanka. Podała szklankę Idzie, a ona usiadła przy stojącym pod jednym z okien stole, wyciągnęła nogi na sąsiednim krześle i rozparła się wygodnie. Wreszcie odetchnęła.

— Co za okropny upał — powiedziała. — Na szczęście spotkałam po drodze Franka Żałoskę, podwiózł mi plecak do rozstajów.

— Uczynny z niego chłopak — odpowiedziała Regina, również siadając za stołem. — Zdejmij nogi z krzesła, są całe w piachu.

Ida posłusznie opuściła stopy na podłogę. Dolała sobie kompotu.

— Beatka dzwoniła dzisiaj — dodała Regina. — Niedługo tu będzie.

Ida się uśmiechnęła.

— To cudnie. Nie widziałam jej od maja. Byłam u niej wtedy w Poznaniu, wiesz?

Regina pokiwała głową. Ida przymknęła oczy, wsłuchując się w znajome od dziecka tykanie ściennego zegara, które uspokajało bicie serca. W kuchni był leciutki przeciąg dzięki otwartym na oścież obu oknom. Zmęczenie podróży ustępowało powoli, pot na skórze wysychał.

— A Flora? — zapytała i otworzyła oczy.

Regina uśmiechała się trudnym do określenia uśmiechem.

— Nie wiem. Sądzę, że zjawi się niedługo.

— Ale my śpimy w lipnym, jak zawsze?

— Naturalnie.

Lipny pokój był położony na piętrze. Dawno temu, kiedy dzieci Reginy były jeszcze małe, Joasia uparła się, żeby nazywać go „lipowym” — od ogromnych lip, które szumiały tuż za jego oknami. Piotr jednak tak długo robił na złość siostrze i przekręcał nazwę, że w końcu to jego pomysł się przyjął. Wszystkie dzieci i wnuki Reginy najbardziej lubiły ten właśnie pokój. Był narożny, posiadał okna w dwóch sąsiadujących ścianach; jedno z nich wychodziło na stary sad, z drugiego zaś rozciągał się widok na rozległą, falującą zbożem równinę. Latem panował w nim zawsze przyjemny chłód dzięki cieniowi, który dawały rosnące tuż przy domu lipy.

O nocowanie w tym pokoju staczano kiedyś bitwy, od kilku lat jednak Regina przydzieliła go dwóm młodszym wnuczkom, które zwykle przyjeżdżały na wieś pierwsze i zostawały najdłużej. Według Reginy było to sprawiedliwe rozwiązanie.

Na łóżku leżały dwie poduszki, lekka kołdra i błękitna pościel do powleczenia. Drzwi ogromnej trzydrzwiowej szafy były uchylone — jak gdyby już czekały na rzeczy Idy i Beaty. Nieraz oddawały jedną jej część Florze, która zawsze miała kłopoty z ułożeniem swoich niezliczonych ubrań w malutkiej szafie w sąsiednim pokoiku, w którym spała. Ida położyła plecak na podłodze, przymknęła szafę. Podeszła do toaletki, która stała w rogu pokoju, między oknami — stara, z trzema dużymi lustrami, trzema szufladami i dwiema szafeczkami po bokach. Przyklękła i z trudem otworzyła dolną szufladę; Regina przechowywała tu stare ozdoby swoich córek — szklane koraliki, broszki z modeliny, srebrne porwane łańcuszki i poczerńnięte pierścionki. Ida dotknęła delikatnie żółtych plastikowych koralików ciotki Elżbiety, którymi lubiła się bawić w dzieciństwie. Podniosła głowę — z trzech luster uśmiechnęły się do niej trzy dziewczyny.

Wstała z kolan, podeszła do okna, otworzyła je i wychyliła się przez szeroki parapet. W twarz uderzyło ją rozgrzane powietrze.



Obiad jedli na ganku. Ida była już wykąpana i przebrana. Jej wilgotne włosy szybko schły na powietrzu. Mateusz przyszedł prosto z sadu. Oddech miał przyspieszony.

Przywitali się serdecznie. Mateusz z jasnym uśmiechem patrzył przez stół na pierwszą tego lata wnuczkę. Regina rozlewała zupę do głębokich talerzy, posypywała jej powierzchnię natką pietruszki. Głosy z sadu nie dosięgały ganku, było cicho i spokojnie. Dzięki wino dawało cięć, i chociaż tak naprawdę była to znikoma ulga w samo południe, to jednak mieli wrażenie względnej ochrony przed palącym słońcem.

— Przychodziła tu dziś Zocha Charczukowa. Prosiła, żeby przyjąć Heńka do sadu.

— Coś takiego. — Mateusz w skupieniu mieszał łyżką w zupie, starając się zgarnąć pietruszkę na brzeg talerza. — Mam nadzieję, że odmówiłaś.

— Przeciwnie. Będzie przychodził od jutra.

— No wiesz. — Mateusz podniósł wzrok znad talerza; pietruszka natychmiast wróciła na swoje miejsce. — Czy mam ci przypomnieć, jak on rwie?

— Zawsze mówiłeś, że był dokładny.

— Tak, na wysokości rąk. — Mateusz pokiwał głową. — Tam zrywał do czysta. Niżej nie mógł, bo mu się w głowie kręciło, wyżej też nie, bo mu ramiona omdlewały. Szkoda, że mu nie omdlewały, jak mi cichaczem wynosił bimber z kredensu.

Ida zakrztusiła się zupą.

— To jest recydywista, czy ja ci to muszę tłumaczyć? — mówiła tymczasem Regina spokojnie. — Pomyśl o jego biednej matce, ona tak się o niego martwi. Trzeba mu dać jakieś zajęcie.

Mateusz nic na to nie odrzekł. Spojrzał z powrotem na swój talerz i zmarszczył brwi na widok pietruszki.

Zaraz po obiedzie wrócił do stodoły. Upał był tak straszny, że trzeba było regularnie zwozić wiśnie z sadu, żeby nie stały zbyt długo w słońcu. Ida z Reginą zostały na ganku. Przez podwórko przeszedł Franek Żałoska, pokiwał im z daleka i zniknął w stodołę — przyszedł pomóc sąsiadowi w godzinach najgorszego upału. Ida odprowadzała go wzrokiem.

— Szkoda tej Hanki — powiedziała, podnosząc do ust szklankę z resztką kompotu.

— Nie rozumiem.

— Szkoda tej Hanki dla takiego Franka — uściśliła więc Ida.

— Aha. Szkoda kelnerki bez wykształcenia dla porządnego mężczyzny, który dba o dom i rodzinę, to miałaś na myśli?

Ida wzruszyła ramionami.

— Myślę, że Hanka mogła mieć niejednego. Zawsze była bardzo ładna.

— Z pewnością — pokiwała głową Regina — niejednego z klientów, których miała w swoim barze. I tylko Franek ją stamtąd zabrał.

Ida nic nie odpowiedziała.

— Podobno postanowiłaś nie zdawać na studia.

Ida uśmiechnęła się pod nosem.

— To prawda.

— Nie słyszałam natomiast, jaka jest tego przyczyna.

Ida wyprostowała nogi, przyjrzała się swoim bosym stopom.

— Jest wiele dróg, którymi może pójść dorosły człowiek — odrzekła po chwili. — Nie rozumiem, dlaczego studia to ta właściwa i jedynie słuszna.

Regina kiwała głową.

— Przy czym studia wyłącznie w Warszawie, bo przecież taniej, przecież mieszkałabym nadal z rodzicami.

Regina gładziła palcem podbródek.

— A zatem nic, absolutnie nic by się nie zmieniło. Tymczasem ja jestem dorosła, a dorosłość to wolność i samodzielność.

— I jaka jest ta twoja droga?

Ida nadal oglądała swoje nogi.

— Pójdę do pracy i wynajmę mieszkanie. Albo wyjadę za granicę. Nie zdecydowałam jeszcze.

— Do jakiej pracy?

Ida popatrzyła na Reginę, a potem znowu przeniosła wzrok na swoje stopy.

— Do knajpy — mruknęła.

— Aha.

Ida gwałtownym ruchem podkuliła nogi, zrobiła ruch, jakby zamierzała wstać. Ale nie podniosła się z krzesła.

— No dobrze. — Regina sięgnęła po talerz Mateusza, postawiła go na swoim. Wyciągnęła rękę, więc Ida podała jej swój. — Pomóż mi pozbierać ze stołu. Posprzątamy, zanim zjawi się Beata.



Pociąg ledwie przystanął w biegu i zaraz pomknął dalej, a Beata została sama na malutkiej stacyjce, żałośnie porzuconej tuż przy sosnowym lasku. Powietrze na zewnątrz miało tę samą temperaturę co w rozgrzanym jak piekarnik wagonie. W pierwszym momencie wydawało się tylko trochę świeższe, ale wrażenie to szybko minęło. Nie było na ziemi ani jednego miejsca, gdzie powietrze nie zalegałoby ciężarem na ramionach i nie lepilo się do skóry. Trawa i chwasty, silne na tyle, żeby przecisnąć się między popękanymi płytami, jakimi wyłożona była stacja, jednak nie umiały stawić czoła lejącemu się z nieba żarowi — żółkły i zwiędły. Lasek wydawał się omdlewać w upale. Beata pomyślała, że wystarczyłoby dotknąć pierwszej z brzegu sosny i cały zagajnik rozsypałby się w proch jak wysuszone zioła.

Nieopatrznie założyła na drogę długie džinsy. Nieopatrznie zabrała dużą walizkę na kółkach. Beata wiele rzeczy w życiu robiła nieopatrznie. Nie pozostawało jej nigdy nic innego, jak z pokorą ponosić tego konsekwencje. Gruby i sztywny materiał spodni przywodził na myśl zbroję. Walizka zabawnie podskakiwała na polnej drodze. Na wyjątkowo złośliwym kamieniu urwało się jedno kółko.

Jak zawsze poczuła ogromną ulgę, kiedy minęła lasek i przed jej oczami rozlała się złocista równina. Dom dziadków był niemal na wprost, ale polna droga, do której Beata dotarła, biegła ukosem, prowadząc najpierw do rozstajów. Wprost do domu prowadziła bujnie porośnięta ostem i rumiankami miedza, i Beata pewnie by ją wybrała, jako że miała długie spodnie i pełne buty, chwasty były jej więc niestraszne, ale w porę uświadomiła sobie, że przedzieranie się przez splątane ziele z walizką na kółkach byłoby jednak głupie. Skręciła zatem w polną drogę. Walizka wzbijała za sobą niewielki tuman pyłu.



Siedziały obie na ganku i piły kawę z glinianych filiżanek. Regina coś mówiła cicho, Ida kiwała głową. Jednocześnie ją zobaczyły, jednocześnie wstały. Beata z uśmiechem weszła na ganek, mimo że walizka z trudem pokonywała kolejne stopnie. Uściskały się i rozmawiały chwilę nieporadnie, tak jak zwykle przy powitaniu rozmawia się z kimś bliskim a długo niewidzianym. Potem Regina znikła w kuchni przygotować jej coś do jedzenia, a ona za Idą wspięła się na górę do lipnego pokoju.

— Cieszę się, że już jesteś — powiedziała Ida, siadając na łóżku i przyglądając się, jak Beata kuca nad swoją walizką i ogląda miejsce po urwanym kółku. — Bałam się, że będę tu sama z Florą.

— Flora jest?

— Nie. Ale babcia napomknęła, że może się tu zjawić lada chwila. A ona ma szósty zmysł, jeśli chodzi o takie sprawy.

Beata odsunęła suwak. Rzeczy, w miarę porządnie ułożone rano, nie wytrzymały drogi przez wiejskie wertepy.

— A ja nie sądziłam, że uda mi się dziś przyjechać. Na szczęście poszło szybciej, niż myślałam. Teraz już pozostaje tylko odebrać dyplom.

— I w świat? — Ida się uśmiechnęła. — Co dalej zamierzasz?

— Nie myślałam jeszcze o tym. — Beata otworzyła szafę. — I tutaj też nie będę myśleć.

— Ale chyba masz jakieś plany?

Beata uśmiechnęła się pod nosem.

— A ty? Masz jakieś plany?

Ida wzruszyła ramionami.

— Oczywiście. Pójdę do pracy albo wyjadę na rok do Irlandii.

— Aha. No to faktycznie masz plany, Iduś.

Ida wstała z łóżka i podeszła do okna.

— Nie mówmy na razie o tym, dobrze? — powiedziała.

— Jasne. Byłaś już w sadzie?

— Nie. — Ida pokręciła głową. — Z dziadkiem widziałam się na obiedzie. A tak to cały czas siedziałam z babcią.

— Nie mogłam się już doczekać, kiedy tu przyjadę.

— Ja też.

— I już jutro pójdziemy do sadu.
Ida pokiwała głową.



Regina poszła zerwać maliny, a one usiadły na ganku, każda z piwem w dłoni. Beata kołysała się w bujanym krześle, Ida przysiadła na poręczu. Przez podwórkę przemykały już pojedyncze postaci — to pierwsi rwacze schodzili z pola, ci najmniej wytrwali albo ci, którym śpieszyło się do własnych codziennych obowiązków. Ścienny zegar w kuchni wybił piątą.

— Jaki spokój — powiedziała Ida. — Jak cudownie. Wszystko dopiero się zaczyna.

Beata się uśmiechnęła.

— Czuję się, jakbym oglądała piękną okładkę nowej książki — odrzekła.

Jutro miały już pójść do sadu, ale dziś jeszcze były gośćmi. Upał nie zelżał ani odrobinę, ludzie przecinający podwórkę byli spoceni i brudni. Na ganku było duszno i sennie. Beata przymknęła oczy, bujany fotel kołysał się miarowo. Ida, oparta o filar podtrzymujący daszek, patrzyła na ciemnozielone liście winorośli, przez które sączyło się słoneczne światło. Była bliska drzemki. Nagle bujany fotel skrzypnął i Ida się ocknęła, omal nie straciwszy równowagi.

— Słyszysz?

— Słyszę. — Ida pokiwała głową. — Jakby do nas.

W ciszy pól, które rozpościerały się przed domem, zaczął nagle nabrzmiwać daleki warkot samochodu, warkot, który przybliżał się i przybliżał, aż w końcu stał się tak wyraźny, że były już pewne, iż to ktoś do dziadków. Jeszcze chwila i na podwórkę wjechał z chrzęstem srebrzysty ford, który zatoczył eleganckie półkole i zatrzymał się w cieniu rosnących pod płotem jarzębin.

Z samochodu wysiadła smukła, czarnowłosa kobieta w długiej fioletowej sukience i o ton ciemniejszych sandałkach na wysokim obcasie, które to zresztą obcasy natychmiast zapadły się w piach. Kobieta zdjęła duże ciemne okulary i powiodła wzrokiem po podwórku, potem zatrzasnęła swoje drzwi i otworzyła z kolei tylne. Pochyliła się w głąb samochodu, coś mówiła, ale jej głos nikł we wnętrzu kabiny, potem się wyprostowała i cofnęła, by przepuścić drobnego ciemno-

włosiego chłopca ubranego w szerokie džinsy i koszulkę w granatowo-szare pasy. Chłopiec zadął głowę i coś jeszcze do niej mówił, ale kobieta już go nie słuchała, odwróciła się w stronę ganku i przysłoniła oczy dłonią. Chłopiec nie miał więc wyjścia i również spojrzał w tym samym kierunku.

A z ganku tymczasem schodziły Ida z Beatą.

— Cześć, Floro — odezwała się pierwsza Ida. — Cześć, Fifi.

Podeszły jeszcze kilka kroków. Mierzyły się wzrokiem.

— Hej — przywitała się Flora krótko. — Tak myślałam, że już jesteście obie.

Beata kucnęła i wyciągnęła ręce do Filipa. Chłopczyk po krótkim wahaniu podszedł do niej i dał się uściskać, sztywny jak kłoda.

— Gorąco jak jasny gwint. Myślałam, że oszaleję po drodze, mam zepsutą klimatyzację — mówiła Flora. — Chodźmy prędzej na ganek, potem mi pomożecie wyjąć bagaże. Jest coś do picia?

Wspięły się z powrotem na ganek. Flora opadła na bujany fotel, który jeszcze się kołysał wprawiony w ruch ciałem Beaty, i zgrabnymi ruchami zrzuciła z nóg sandaalki. Filip przysiadł na stopniach. Nie odzywał się.

— Jest piwo albo kompot z obiadu — powiedziała Ida.

Beata przysiadła na schodkach obok Filipa.

— A woda mineralna niegazowana? Z lodem.

— Jest woda naturalna gruntowa — odrzekła Ida. — Z kranu.

Flora wzruszyła ramionami.

— Poproszę w takim razie o kompot. Fifi, przynieś mi z samochodu moją torebkę. Muszę zapalić.

Ida znikła w kuchni, a Filip posłusznie podniósł się ze stopni ganku i powlókł do samochodu.

— Trochę życia! — zawołała za nim zniecierpliwiona Flora.

Filip wzruszył ramionami ruchem identycznym jak matka. Beata obserwowała go uważnie.

— Daj mu spokój, każdy jest ocieęzały w taki upał — powiedziała.

Flora popatrzyła na nią.

— Gdzie dziadkowie? — zapytała.

— Babcia rwie maliny, a dziadek jest w sadzie — przez otwarte na oścież kuchenne okno, które wychodziło na ganek, dał się słyszeć głos Idy.

Filip tymczasem dotarł do samochodu, wyjął stamtąd czarną dużą torebkę i równie wolnym krokiem wrócił na ganek.

— No nareszcie — mruknęła Flora, biorąc od niego torebkę. — Następnym razem zrobię ci kanapki na drogę.

Beata kręciła powoli głowę.

— Fifi, a może też napijesz się kompotu, co? — zapytała.

— Nie chcę — odpowiedział chłopiec z ujmującą bezpośredniością i ponownie usiadł na schodkach.

— Jest obrażony — wyjaśniła Flora — ponieważ nie zatrzymaliśmy się po drodze w McDonaldzie. Zostaw go, przejdzie mu.

Filip znowu wzruszył ramionami, wziął patyk i zaczął coś rysować na piasku. Z kuchni wróciła Ida, niosąc pełną szklankę kompotu.

— No a wy, co porabiacie? Dawno tu jesteście? — zapytała Flora, biorąc od niej szklankę. — Długo zamierzacie być? Wiem, że Regusia planuje jakieś uroczystości na koniec zbiorów.

— To mają być urodziny — powiedziała Ida, siadając z powrotem na poręczy. — Ja będę na pewno do końca wiśni, może dłużej.

— Słyszałam, że nie zdawałaś na studia. — Flora pokiwała głową. — No i fakt, pewnie nigdzie ci się nie śpieszy. A ty? — Odwróciła głowę do Beaty.

— Ja też zostanę. Mnie też się nigdzie nie śpieszy.

— Hmm... — Flora sięgnęła do torebki, pogrzebała w niej chwilę, po czym wyjęła prawie puste pudełko cienkich długich papierosów. — Szczęściarzy. Ja musiałam na ten cel wziąć urlop. A i tak szef może mnie w każdej chwili wezwać z powrotem do Warszawy.

— Czy to znaczy, że wzięłaś urlop, żeby przyjechać na wieś? Nie jedziesz na żadne Wyspy Kanaryjskie? — Ida zrobiła wielkie oczy. — Nie gadaj.

Flora zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

— Nie, Ida, wyobraź sobie, że jednak wolałam przyjechać tutaj — powiedziała, wypuszczając jednocześnie dym z płuc. — Potrzebuję wyciszenia. Muszę pomyśleć.

— Aha. — Ida pokiwała głową. — Pomyśleć, nie popracować.

Flora spojrzała na nią ironicznie.

— Dziadkowie najmuja ludzi do rwania. Tutejszych. Gdyby potrzeba im było dodatkowej pary rąk, to by po prostu taką parę rąk najęli. Wy chcecie mimo wszystko pomóc. Pięknie. Napraw-

dę. — Wstała z fotela — Filip, biegnij do stodoły przywitać się z dziadkiem. Ida, możesz wyjąć moją walizkę z bagażnika? Tu masz kluczyki. I zanieś ją do mojego pokoju, jeśli możesz. Pójdę poszukać Regusi. A potem muszę koniecznie wziąć prysznic.

Po chwili jedynym śladem po Florze był ciągle jeszcze bujający się fotel. Beata milczała. Ida podrzucała w ręku lśniące kluczyki od srebrnego fforda.



Wieczorem usiadły we cztery w altance w starym sadzie. Regina nie miała ogrodu kwiatowego, nie licząc niewielkiego skrawka ziemi od strony drogi — każda szanująca się gospodyni musiała mieć kwiaty przed domem i Regina sadziła tam malwy — i tak naprawdę funkcję ogrodu pełnił stary sad. Kilka lat temu Mateusz zbudował w nim altankę, z której ani on, ani Regina prawie nie korzystali, woląc w ciepłe dni siedzieć na ganku, ale którą bardzo lubiły wnuczki, bo była miejscem ustronnym, niewidocznym ani z domu, ani z podwórka. Flora, gdy Filip był jeszcze malutki, przewiozła do dziadków hamak, który też rozwiesiła w starym sadzie i w którym kładła synka, podczas gdy sama rozstawiała sztalugi i malowała.

Mateusz przyniósł im nalewki orzechowej, a sam poszedł na skróty przez ogród warzywny do Stacha Żałoski. Pierwszy dzień dobiegł końca, ludzie zeszli z sadu o szóstej. Kiedy zakończyli ładowanie samochodu odbierającego owoce, Stach cicho zaproponował sąsiadowi degustację nowej porcji księżycówki dla uczczenia rozpoczęcia zbiorów, na co Mateusz chętnie przystał.

Siedziały w altance, popijały orzechówkę z małych kieliszków i przegryzały kruchymi ciasteczkami, które Regina trzymała zawsze w okrągłej blaszanej puszcze. Zapadał zmierzch, niebo dogasało tuż nad horyzontem. W trawie cykały świerszcze, z daleka echem niosło się ujadanie psów.

— No a wasi rodzice? — spytała Regina. — Kiedy przyjadą?

— Mama mówiła, że do ciebie zadzwoni — powiedziała Beata.

— A Robert?

Beata wzruszyła ramionami.

— Z nim nie znasz dnia ani godziny. Zechce, to przyjedzie. Albo coś mu strzeli do głowy i wyjedzie na Wyspy Dziewicze. Ostatnio wspominał, że bardzo mu się nazwa spodobała.

Regina pokiwała głową.

— Powiedz lepiej, Ida, czemu ty właściwie nie zdawałaś na studia? — zapytała Flora. — Babciu, słyszałaś o tym?

Ida wywróciła oczami. Rozparła się na krześle, jak gdyby w ten sposób chciała im dać do zrozumienia, że mają dać jej spokój.

— Daj jej spokój, Flora — mówiła tymczasem Regina. — Pozwólcie jej uczyć się na własnych błędach, skoro inaczej się nie da. Iduniu, nie wywracaj oczami.

— Moim zdaniem głupio robisz — powiedziała Flora, zapalając papierosa. — Studia to studia.

— Ja też tak uważam — poparła Florę Beata.

— A co tobie dały studia? — odgryzła się Ida. — Nie masz żadnych planów, nigdzie ci się nie spieszy. Dobrze pamiętam? I pewnie nikt na ciebie nie czeka.

Beata popatrzyła na nią.

— To nie ma nic do rzeczy — odrzekła po chwili.

— Oczywiście, że to nie ma nic do rzeczy — potwierdziła Regina. — Studia nie są po to, żeby łapać mężów, Ida. Jeśli tak myślisz, to może dobrze, że robisz sobie przerwę. Pozmywasz trochę cudze kufle po piwie i spojrzysz na świat inaczej.

— A swoją drogą... — odezwała się Flora, wypuszczając z płuc wstęgę dymu i zwracając się w stronę Beaty. — No właśnie. Broniłaś się miesiąc temu. I co dalej? Zostajesz w Poznaniu? Wracasz do matki? A może dołączysz do brata w stolicy?

Beata pokręciła głową.

— Jeszcze nie wiem — odpowiedziała cicho.

— No tak. — Flora się uśmiechnęła. — Wszystko jasne. Brawo, dziewczęta. Świat po prostu leży u waszych stóp.

Ida przez moment miała minę, jak gdyby coś cisnęło się jej na usta, ale się nie odezwała. Regina uśmiechała się kątem ust.

— Uroczo tak sobie usiąść z wami — powiedziała. — Nie mogłam się już doczekać, kiedy przyjedziecie tu wszystkie. Iduniu, weź sobie ciasteczko. Ono nie jest niczemu winne.

Ida z naburmuszoną miną wzięła ciastko. Flora paliła. Beata wypila nalewkę do dna.



Drewniany dom pod lipami jeszcze półtora roku wcześniej znajdował się w stanie opłakanym.

Dotychczasowa właścicielka zmarła w pierwszym roku wojny i od tego czasu nikt się jej chatupą nie opiekował. Ona sama zresztą nigdy nie dbała o dom; z nikim nie utrzymywała kontaktów, nie wiadomo było, z czego żyje, bo nie miała ani krów, ani świń, ani nawet własnego ogródka i była powszechnie uważana za wiedźmę. Krążyły plotki, że żywi się kotami, bo kotów miała nieprzeliczone ilości, ale nikt tego nie wiedział na pewno.

W końcu jednak staruszka umarła, ksiądz pogrzebał ją w poświęconej ziemi, choć nie miał pewności, czy aby na pewno była katoliczką, poza tym żywił do niej osobistą urazę za swego pięknego rudego kota, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Jej zmurszała chałupa została pozostawiona własnemu losowi. Starucha nie miała krewnych, a nikt z miejscowych nie odważył się zająć domu, bojąc się sił nieczystych i tabunów dziczących kotów. Odwagę mieli tylko miejscowi pijaczkowie, którzy bardzo szybko urządzili sobie tutaj miłą przystań, ale i oni nie byli zainteresowani tym, by przetrwała. Dom szybko popadł w ruinę, spomiędzy desek podłogi wyłaziło zielsko, okna wybito, strzechy w zasadzie w ogóle nie było, bo kiedyś dzicy lokatorzy urządzili sobie na zarośniętym podwórzu ognisko.

I nagle pojawił się we wsi nieznany nikomu młody mężczyzna, który nie był zainteresowany złą legendą chałupy, załatwił z sołtysem wszystkie formalności (jak podejrzewali miejscowi, ograniczyły się one do paru butelek wódki) i został uznany za nowego właściciela. Mężczyzna szybko dźwignął chałupę z ruiny, przegonił pijaczków, wytruł koty, położył nową podłogę, wstawił szyby i nawet dobudował niewielkie piętro, które

*w owych czasach było na wsi rzadkością. Poza tym
szybko zaprzyjaźnił się z całą wioską, ożenił się
z dziewczyną z pobliskiego miasteczka, i oto minął rok
od jego przyjazdu, cała wieś uznała mieszkańców domu
pod lipami za swoich, a młodzi małżonkowie oczekiwali
właśnie swego pierwszego potomka.*

ROZDZIAŁ 2

Obie obudziły się wcześniej. W lipnym pokoju panował o tej porze półmrok — słońce wschodziło z drugiej strony domu, dostępu dziennemu światłu broniły poza tym gęsto porośnięte liśćmi gałęzie lip. Beata wstała pierwsza. Uchyliła okno wychodzące na stary sad i przysiadła na szerokim parapecie. Powietrze pachniało jeszcze poranną rosą, ale czuło się w nim już zapowiedź upału. Podkuliła nogi, schowała kolana pod obszerną koszulkę, w której spała. Patrzyła na stary sad, na altankę, gdzie wczoraj siedziały. Pomyślała, że lato dopiero się zaczyna.

Ida poruszyła się na łóżku, przeciągnęła się, przetarła oczy pięściami — zupełnie jak małe dziecko. Potem usiadła.

— Dzień dobry — powiedziała, ziewając. — Dobrze, że otworzyłeś okno, jest tak duszno.

Wstała i podeszła do toaletki. Poprzedniego wieczoru przed pójściem spać siedziały tu i układały swoje grzebienie, szczotki do włosów, spinki, chusteczki na głowę mające chronić przed upałem, kremy i cienie do powiek. Jak zawsze sprzeczały się, gdzie co powinno leżeć, zapominając o tym, że obie miały skłonność do bałaganiarstwa i że na starej toalecie szybko robi się nieporządek. Ida pozawieszała na porcelanowej kobiecej dłoni, która stała w rogu, swoje koraliki, a Beata zatknęła na jej wskazującym palcu swój pierścionek z granatem.

Teraz Ida usiadła na niskim taboreciku przed toaletką. Przyglądała się swojemu odbiciu w zmatowiałym lustrze.

— Wyglądam okropnie — stwierdziła, sięgnęła po szczotkę i zaczęła rozczesywać pojedyncze pasma włosów. — Zawsze zazdrościłam Florze, że tak ładnie rano wygląda. Zauważyłaś?

— Zauważyłam. Zawsze podejrzewałam, że ona po prostu nie wychodzi z pokoju bez makijażu.

— Może coś w tym jest — powiedziała Ida z zadumą. — Ciekawa jestem, ilu facetów odkochuje się w swoich wybrankach, kiedy pierwszy raz widzą je rano. To musi być straszne. Powiedz mi — odwróciła się od lustra i spojrzała na Beatę. — Jak to jest?

— Co?

Beata patrzyła na nią spokojnie, ale wiedziała, o co Ida chce zapytać, i zastanowiła się, co może jej odpowiedzieć. Jej doświadczenie nie było dużo większe.

— No wiesz... Jak to jest rano. Bo ja nigdy... — Ida znowu popatrzyła na własne odbicie w lustrze. — W zasadzie to nawet nie powinnam się przyznawać. Jeszcze nigdy... I zastanawiam się, bo zawsze mi się wydawało, że najbardziej głupio jest rano. Co?

— To wszystko zależy... — powiedziała Beata niezdecydowanie, bo Ida znowu utkwiała w niej wzrok.

— O tak, ja wiem, wszystko to jest bardzo indywidualna sprawa — odrzekła Ida kpiąco. — Wiedziałam, że tak powiesz. Cemu nikt ze mną normalnie nie porozmawia? Mam wrażenie, że ostatnio cały świat przemawia do mnie sloganami. — Odłożyła gwałtownie szczotkę, potrząsnęła głową. — Jedna Regusia przyjęła inną taktykę, w ogóle do mnie nie przemawia, ona po prostu jawnie ze mnie szydzi.

— Przesadzasz, Ida. — Beata zeskoczyła z parapetu. Nie miała ochoty na tę rozmowę, bała się dalszych dociekań kuzynki i tego, że od rana popsuje jej to humor. — Chodź na dół, napiłabym się kawy.

— To ja pójdę w tym czasie do łazienki. — W Idzie ocknął się instynkt samozachowawczy, który mówił jej, że niedługo zaczną się w tym domu wojny o łazienkę. — A z babcią nie przesadzam, chociaż przyznaję, że miło mnie zaskoczyła. Bałam się, że będą rozmowy naprawcze. Wolę już jej docinki, zresztą ona zawsze ze mnie kpi.

Zostawiły otwarte okno i zeszły na dół. Ida skręciła do łazienki, a Beata zajrzała do kuchni. Reginy nie było.

Postawiła czajnik na gazie i przysiadła za stołem. Za oknem widziała, jak przez podwórko przechodzą ostatni rwacze. Ci, którzy przyszli pierwsi, już od godziny byli w sadzie. Przez uchylone okno doleciał do niej stłumiony śmiech. Należał do wysokiej dziewczyny w obciętych do kolan džinsach i granatowej koszulce, która szła z ja-

kimś chłopakiem, nieco niższym od niej, ubranym w bojówki i czarny podkoszulek. Chłopak opowiadał coś żywo, a dziewczyna kiwała głową i tłumila głośny śmiech. Po chwili zniknęli we wrotach stodoły.

Beata przypomniła sobie podobną scenę, ale z własnego życia. Szła z mężczyzną aleją poznańskiego parku, była ciepła wczesna jesień, ona miała na sobie nowy ciemnozielony płaszcz, a on poprawiał jej srebrzystą chustę, która cały czas zsuwała się z ramion. On również opowiadał coś szybko, nie pamiętała już co, ale pamiętała, że śmiała się tak samo jak ta dziewczyna — zbyt głośno i zbyt nerwowo, dlatego tak samo jak ta dziewczyna próbowała stłumić śmiech, zagryzała wargi do krwi i przysłaniała twarz indyjską chustą. I podobnie jak ta dziewczyna — na próżno. Ale ta jesień była tak dawno temu, i ten śmiech, i ta rozmowa nic już nie znaczyły, nie zaznaczyły się w jej życiu jakoś szczególnie, nie pozostał po nich żaden widoczny ślad, i ona już wtedy, kiedy zasłaniała usta chustą, tak naprawdę wiedziała o tym, że jeszcze chwila, a każde z nich skręci we własną alejkę.

I tak się stało.

Tak było zawsze.

Zagwizdał czajnik. Beata ocknęła się z zamyślenia, podniosła i wyłączyła gaz. Wyjęła z szafki swój ulubiony brązowy kubek z tłoczonymi listkami koniczyzny, nasypała do niego kawy rozpuszczalnej, którą Regina zawsze kupowała dla wnuczek, zalała wodą i dodała mleka. Rozejrzała się za cukierniczką, ale jej nie było. Wzięła kubek z kawą i wyszła na ganek. Cukierniczka stała tutaj, obok dwóch pustych kubków po kawie i dwóch talerzyków ze śladami po jajeczniczy. Czyli dziadkowie byli już po śniadaniu.

Beata posłodziła kawę i wróciła do kuchni akurat w chwili, kiedy z łazienki wyszła Ida. Miała mokre włosy i krople wody na przedramionach.

— Gdzie babcia? — zapytała tonem małej dziewczynki, który jeszcze niekiedy wracał do niej, a z którego ona nie zdawała sobie sprawy. — Zrobiłaś mi kawę?

— Nie wiedziałam, czy chcesz — odrzekła Beata. — Może wolisz herbatę do śniadania. Co byś zjadła? — dodała, zaglądając do stojącej w kącie lodówki. — Widzę żółty ser i jajka. O, jest też kiełbaska, pewnie od Żałosków.

— Daj kielbasę — zdecydowała Ida i sięgnęła po stojące na szafce w wiklinowym koszyczku pomidory. — I majonez, jak jest.

Wspólnie zrobiły śniadanie i usiadły przy stole. Ida włączyła radio. Jadły w milczeniu. Beata się bała, że Ida za chwilę wróci do przerwanej rozmowy, ale na ganku rozległy się kroki i w progu kuchni stanęła Regina.

— O, jak to miło, że jesteście już takie samodzielne — powiedziała. — Śpieszcie się, dziadziś na was czeka. Wybrał dla was przepiękne drzewko do oberwania.

Usiadła przy stole. Rozmawiały chwilę. Ida dociekała, gdzie będą rwać, czy na początku sadu, czy może raczej przy końcu, ale Regina kręciła głową i mówiła, że nie odbierze Mateuszowi przyjemności pokazania im, które drzewka będą ich. Beata skończyła jeść pierwsza, wstała od stołu, zostawiła Idę i Reginę w kuchni, a sama poszła do łazienki. Podczas mycia zębów znowu przemknęła jej przez głowę scena w parku i usiłowała sobie przypomnieć, kiedy dokładnie to było. Dwa, trzy lata temu? Chyba dwa, chyba była wtedy na trzecim roku. Tak, to było na pewno wtedy, bo to właśnie z nim, z tym mężczyzną z parku była na hucznej imprezie zorganizowanej z okazji półmetka studiów. I od tamtej pory zaległa w jej życiu wielka cisza. Na tak długo.

W lipnym pokoju zastała Idę, już ubraną do sadu w szare rybaczki i wyciągniętą koszulkę na ramiączkach we wściekle pomarańczowym kolorze. Ida smarowała sobie dekolt i ramiona balsamem do opalania z bardzo wysokim filtrem — miała bzika na punkcie nierównej opalenizny.

— Ubieraj się szybko i idziemy, już prawie dziewiąta — powiedziała do Beaty, nie podnosząc głowy. — I posmarujesz mi plecy, dobrze? Tylko dokładnie.

Beata otworzyła swoją część szafy i wyciągnęła krótkie szorty, które zabrała z myślą o tym, że wykorzysta czas spędzony w sadzie na opalanie nóg. Nie miała nigdy cierpliwości do leżenia plackiem na słońcu.

— Zamierzasz tak chodzić po podwórku? — Ida zrobiła wielkie oczy na widok postrzępionych spodenek, które można było wziąć za niemodne majtki. — Zapomnij, babcia ci nie pozwoli.

— Ida, pilnuj swoich ramiączek, co? — odparła Beata, szybko wciągając szorty. Rzeczywiście były bardzo krótkie. — Daj ten balsam. Przytrzymaj włosy.

— Cieszę się, że wiśnie się zaczęły — mówiła Ida, podczas gdy Beata okrężnymi ruchami wcierała balsam w jej skórę. — Ale jak sobie pomyślę, że czeka nas tyle godzin w sadzie... Zawsze rano mam kryzys. Najfajniej jest po południu, co nie? Przy ramiączkach też, bo potem zostaną takie paski. Jak już wiesz, że zaraz koniec, a babcia czeka z kolacją...

— Gotowe — powiedziała Beata, zakręcając tubkę. — Nie marudź. Chodź.

— Przecież nie marudzę — odparła Ida, przysiadając jeszcze przy toalecie, żeby zawiązać zieloną chusteczkę na głowie. — Ale dobrałam sobie kolory. — Zaśmiała się krótko do swojego odbicia w lustrze.

Na podwórku, pod leszczyną leżały porzucone rowery rwaczy, niedaleko, w słońcu ułożyła się stara kotka Żałosków, której nieraz myliły się domostwa. Przeszły przez podwórko i weszły do chłodnej stodoły. Mateusz przy pomocy Franka Żałoski ustawiał zwiezione już skrzynki z wiśniami. Obaj byli spoceni, Mateusz dyszał ciężko.

— Cześć, dziadku — powiedziała Ida, biorąc od niego skrzynkę i ustawiając ją na wadze. — Daj, pomożemy ci.

— Nie trzeba — odpowiedział Mateusz. — Franek tu jest, zaraz za stodołą rwą jeszcze dwaj chłopcy, Roch i Janek, kazali sobie wołać do noszenia. Damy sobie radę, dziewczynki.

— Będziesz ich odrywał od rwania? — zapytała Beata. — Nie zbuntują ci się?

— Sami prosili. Zresztą dorzucę im coś do wypłaty za pomoc.

— Dla nich to rozrywka — wtrącił się Franek. Był cały czerwony i wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle, choć Idzie zawsze wydawało się to niemożliwe. — Dla takich młodych chłopaków zrywanie wiśni to nuda i tyle. To bardziej babskie zajęcie, to jest, przepraszam was, dziewczyny, no ale jednak... — zaplątał się. — W każdym razie, jak tak od czasu do czasu podźwigają trochę i poprzestawiają parę skrzynek, to im to tylko dobrze zrobi. A ja zaraz pójdę po tego znajomego Hanki, o którym rozmawialiśmy.

— Dobrze, dobrze — odparł Mateusz nieuważnie. Sprawdzał wagę dziesięciu skrzynek i zapisywał ją skrupulatnie w zeszytcie. — A wy poczekajcie chwilę, zaraz was zaprowadzę do waszego rządka.

— Gdzie rwiemy, dziadku? — chciała wiedzieć Ida. — Gdzieś blisko ludzi?

— Nie, ludzie zaczęli iść rządками od strony stodoły. Wy zaczniecie z naprzeciwka.

— Czyli idziemy na sam koniec? — zapytała Ida z rozpaczą. — Tak daleko!

Zważyli wreszcie wszystkie skrzynki. Franek pożegnał się tymczasem, obiecując, że zaraz przyprowadzi nowego pracownika, i poszedł na skróty przez warzywny ogród Reginy do domu. Beata widziała, jak kotka ocknęła się i najwyraźniej rozpoznawszy znajomą postać, ruszyła za Frankiem. Mateusz schował swój zeszyt, ustawił na wózku kilkanaście pustych skrzynek i wyszedł z wnuczkami do sadu.

Szli głównym rządkiem, najszerszym, mijali poustawianych w niewielkich odległościach pracowników, w większości sąsiadów, którzy teraz witali serdecznie znane im od dziecka wnuczki Mateusza. Ubrane w robocze stroje, z chustkami na głowach były już tutejsze. Kobiety przyglądały im się życzliwymi oczyma, niektóre zagadywały. Popychany przez Beatę wózek skrzypiał i podskakiwał na napotykanym kamieniach; kilka osób podeszło wziąć sobie parę pustych skrzynek. Mateusz obiecywał, że zaraz przywiezie więcej.

Dotarli wreszcie do końca sadu. Drzewa były tu mniejsze, dawały mniej cienia. Za sadem, odgradzona dziurawą siatką, rozposcierała się łąka, a dalej zaczynały się już zabudowania sąsiedniej wsi. Mateusz miał stamtąd kilku pracowników — większość z nich przychodziła do sadu właśnie wtedy, przełaząc górą przez ogrodzenie albo przez dziury w siatce.

— No, to tutaj — powiedział zasapany Mateusz. — Beatko, zabierz skrzynki i daj mi wózek. Rwijcie tylko te ładne wiśnie, nie-dojrzałe zostawiajcie na drzewach, będzie potem dorywka. Pełne skrzynki ustawiajcie w cieniu, dobrze? Pod tamtym drzewem stoi drabina, przyciągniecie sobie. Chociaż te drzewka nie są wysokie, łatwo będzie oberwać wierzchołki.